

kocham, a sądziłeś, że skłoniś serce moje ku sobie, dając mi pieniądzel... Słuchaj! Posadzałam cię niegdyś, nie zdając sobie sprawy z moich podejrzeń... Dopiero otworzyły mi się oczy w owym dniu, w którym mi powiedziałeś, że chcesz zakład opuścić... że pojedziemy zagranicę, gdzie żyć będziemy z naszych dochodów. Przyrzekłeś mi szczęście, życie wesołe, stroje... tam! tam! gdzieś bardzo daleko... gdzie nie ma żandarmów!... I tobie się zdawało, że żyjąc obok ciebie w zbytku, będę szczęśliwa?... Och! biedny głupcze! Nienawidziłabym cię nie mniej, niż teraz!... Ubóstwo mnie nie przestrasza, bylebym żyła z tym, którego kocham!... Przy tym, który zabrał mi serce! Którego kocham!... Czy słyszysz?... Którego ubóstwiałam wbrew tobie i twojej zazdrości, grubianinie nikczemny!

Sempuis, jak zwierzę raniony, poskoczył.

— Co mówisz, Ludwiko? — wrzasnął grzmącym głosem.

Ona zaś, rozzuchwalona, upajająca się własnym uniesieniem, nie zdolna ocenić doniosłości słów, które niemal bezmyślnie wymawiała, ciągnęła dalej:

— Powiadam ci, że kocham Juliusza Varin!... Wszystkimi siłami duszy i ciała kocham człowieka młodego i pięknego... Nic mnie z nim nie rozdzieli!... A przede wszystkim nie ty, niegodziwcze!

Mikołaj trząsł się jak w febrze!

— Ludwiko! — zawołał zdławionym głosem. — Wyzywasz mnie!... Chcesz mi dokuczyć straszliwie! Kłamiesz! Ale widzisz, źle robisz... Nie powinnaś nadużywać mojej cierpliwości... Nie powinnaś!... Nie wierzę ci... bo gdybym uwierzył... jużbyś nie żyła i ja również!

Pomimo, że uczuła grożące jej niebezpieczeństwo, tak była cała owładnięta rozdrażnieniem nerwowym, że się już powstrzymać nie zdołała.

— Nie kłamie! — szepnęła ciszej, rozglądając się wokoło, jakby szukała wyjścia, którem uciechy mogła. — Nie! nie kłamie, a ty powinienbyś to zrozumieć... Muszę przecież kochać namiętnie, jeśli odważyłam się ciebie zadenuncjować... i o tej porze stawie ci czoło!

On wstrząsnął się z wściekłością.

— Ach tak... to prawda... tak być musi!... To ten człowiek, bez czi i wiary, skłonił cię do popełnienia tak ohydnej podłości! Chcieliście, szelmy, pozbyć się mnie... Lecz poczekaj...

Poskoczył ku niej. Płomieniem gniewu palające jego oczy przeszywały ją straszными spojrzeniami. Obie jego ręce, całym swym ciężarem spadły na jej wątłe ramiona.

Ona zachwiała się i ugięła. Owładnął ją okropny niepokój. Uczuła śmierć bliską sobie, i — jak spadający w przepaść — zamknęła oczy.

— Ach, potworze! zamordujesz mnie tak, jak zamordowałeś tamtą! — jęła cicho.

Słowa te otrzeźwiły Mikołaja. Co-fnął się i odepchnął ją od siebie.

— Nie!... Ciebie nie zabiję! Nie! Lecz idź stąd precz!... Niech cię nie widzę, bo nie wiem, czy nad sobą dłużej zapanować zdołam — rzekł głosem chrypliwym.

Ludwika, obezwładniona trwogą, nie mogła ruszyć się z miejsca. Ugięły się pod nią kolana i zwała się całym ciałem na podłogę.

— Zabij mnie! — wyszeptała ledwie. — Odejść nie mogę... sił nie mam...

Wobec widocznego osłabienia młodej kobiety i skargi, jakby z ostatnim tchnieniem wyrwijającej się z jej piersi, szalony gniew Mikołaja zmienił się w współczucie i żalność bolesną. Poskoczył ku niej i przejęty litością, zawołał:

— O, moja biedna Ludwiko!... Moje ukochane dziecko!

Lecz i tym razem jej gest, pełen odrazy, świadczący o niepokonanym do niego wstręcie, odepchnął go od niej. Cofnął się zrozpaczony, ale dyszący zarazem wściekłością bez granic, rozrywającą mu serce stroskane.

— Ach! jak ty mnie nienawidzisz!

Ona zaś, tracąc zmysły, opuściła na podłogę głowę, którą jeszcze chwilowo trzymała nieco podniesioną, i szepnęła:

— Ja go kocham!

Sempuis, wstrząśnięty znowu gwałtownym uniesieniem, rzucił się na nią. Lecz niemal równocześnie jęknął zdławionym głosem, powstał na równe nogi, przeszedł się tam i napowrót po pokoju, poczem runął na drzwi, rozbijając je raczej, niż otwierając silnym szarpnięciem, i po drewnianych stopniach schodów, trzeszczących pod jego ciężkimi stopami, zbiegł na dół. Tam, jak wichur przeleciał przez izbę, potrafił zdumioną żonę leśnika i wyskoczył na dwór, niknąc jak widmo w cieniach nocy.

— Właśnie w tej chwili leśniczy wychodził z alkierza, w którym zmieniał mokre od rosy buty, w których z lasu powrócił.

— Co to się stało? — zapytał mocno zdziwiony.

Kobieta, zakłopotana wielce, odparła mu mrukliwie:

— To twój Sempuis takie brewerye wyprawia... Ach! jak mi ci ludzie obrzydli!... Ona frymuśnica! on grubianin!... Czy tylko czego złego nie spłatał tam na górze?... Muszę pójść zobaczyć...

Zaledwie weszła do pokoju, zajmowanego przez Ludwikę, krzyknęła przerażona:



— Ach, potworze! zamordujesz mnie tak, jak zamordowałeś tamtą! — jęła cicho.

— Chryste Jezu!... Zabił ją!... Chodź tu czeprędzej Romualdzie!

ROZDZIAŁ X.

Tymczasowo na wolności.

Pani Lucas, klucznica w domu obłąkanych, stojąca na progu pokoju, w którym się mieścił skład bielizny i pościeli, zawołała:

— Panie Berthaut!

Dozorca zatrzymał się w kurytarzu i na przyjazne, zapraszające skinienie gospodyni, wszedł do pokoiku.

Dwa kieliszki i brzuchata butelka wina stały na stole.

— Czy masz pan parę minut czasu? — zapytała wdowa.

— Może mam.

Zamknęła za nim drzwi i napełniając oba kieliszki, szepnęła z wielce zatrwożoną miną:

— He? co? Tyle... tyle wypadków!

Berthaut, sam nieco zakłopotany, kiwnął głową.

— Tak! tak!

Spoglądała na niego wzrokiem, pełnym nadzwyczajnej ciekawości.

— Powiedz pan, jaki był powód śmierci tego biednego Sempuis'a?

Dozorca poruszył się żwawo, jakby rozdrażniony.

— Co przez to pytanie chcesz pani dać do zrozumienia? Wiesz przecie, równie dobrze, jak ja, co i jak się stało!

Pani Lucas potrzęsła głową.

— Wiem to tylko — co mi powiedziano — że podobno miał gwałtowną awanturę z żoną... wskutek czego zbiegł do lasu... i powiesił się...

Berthaut umaczał usta w winie, chlipnął łyk jeden i postawił kieliszek na stole.

— Widzi pani, że wiesz tyle, co i ja!

Ona skrzywiła się z wyrazem powątpiewania w oczach.

— Czy to pana nie dziwi, że Mikołaj zabił się w ten sposób?... I to tak sobie, z powodu marnej zwady ze swoją Ludwiką?

Berthaut odparł zirytowany:

— Powiedzże już pani, co ci leży na sercu?

Czy może podzielasz zdanie pani Manescault, która, gdy ją zawiadomiono o samobójstwie biednego człowieka, krzyknęła: „Nędznik! sam sobie wymierzył sprawiedliwość!...“ Chyba pani nie wyobrażasz sobie, aby Mikołaj czemkolwiek bądź przyczynił się do morderstwa w Pawilonie Bzów? Bo gdybyś wierzyła w takie przypuszczenie, to musiałabyś i mnie o toż samo posądzać...

Wdowa odparła żwawo:

— Och! broń Boże!... Nie! Ja nie to miałam na myśli. Ot! zdawało mi się, że może Mikołaja spotkało jakie nieszczęście!

Maurycy spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Nieszczęście?... Co pani przez to rozumie?

— No! z powodu tego ogrodniczka, który zalecał się do Ludwiki i dwa razy stąd się wydał!... Mówiono, że gonił za Mikołajem... Jeśli się tam spotkali, to może właśnie z tego powodu wynikła brzydka awantura...

Przy wzmiance o miłostce Ludwiki, dozorca poczerwieniał. Sam niegdyś ubiegał się o jej względy, bo podobna mu się bardzo, więc nie zmartwił się, gdy się dowiedział, że chociaż nie jemu uległa, inny mężczyzna odniósł nad nią zwycięstwo. Słuchając jednak romansowych przypuszczeń pani Lucas, wzruszył ramionami.

— Nie staraj się pani gmatwać prostych rzeczy!... Sempuis zabił się sam, to nie ulega wątpliwości! Jadąc do Ludwiki, powiedział domnie: „Jeśli uważać mnie będzie za mordercę, a ja nie zdołam zniweczyć jej błędnego mniemania, zniknę raz na zawsze!“ Gdy to mówił, sądziłem, że ma zamiar wyjechać, lecz teraz widzę, że już wtedy postanowił życia się pozbawić. Prawdopodobnie kobiecisko nie chciało go słuchać, a on stracił wszelką nadzieję przekonania jej o swej niewinności. Później widocznie nie namyślał się długo, bo zaledwie opuścił

Ludwikę, przyjaciel jego, leśniczy, zaniepokojony tem, że Mikołaj jak wariat poleciał do lasu... urządził, przy pomocy swojej żony i dzieci, rodzaj obławy i znalazł go jeszcze ciepłego, wiszącego na drzewie...

Klucznica zadrżała.

Krew w żyłach się ścina, gdy się myśli o tem!

— Powiesił się na sznurku, który stąd wziął z sobą...

— Czy przynajmniej użyto wszelkich możliwych środków w celu przywrócenia mu życia?

— Na nicby się nie przydały; nie warto było nawet próbować... Użył sposobu, który my wszyscy, cośmy przebywali czas dłuższy w koloniach, znamy doskonale... Polega na tem, że uwiązawszy sznur do gałęzi, zakłada się pętlę na szyję i skacze z drzewa głową na dół... Wtedy kość pacierzowa pęka od razu... i śmierć przychodzi natychmiast... Iluż to korsarzy chińskich wyprawiliśmy na tamten świat w tenże sam sposób!...

(Ciąg dalszy nastąpi).